



Wojenna reklama, reklama wojny

2018-05-30

Wiosną 1918 r. krakowianie bardzo już byli zmęczeni wojną. Po zawarciu pokoju brzeskiego tylko nieliczni wierzyli jeszcze w zwycięstwo Państw Centralnych, a młody austriacki cesarz Karol I nie miał nawet cienia autorytetu swojego poprzednika Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa I.

Michał Koziół

Jednak nastroje ludzi kształtowała nie tyle wielka polityka, lecz warunki codziennego życia. A te w maju i czerwcu ostatniego roku Wielkiej Wojny były już bardzo złe. Brakowało wszystkiego, ale jak wiadomo, natura nie znosi próżni. Z każdym kolejnym rokiem wojny na rynku pojawiało się coraz więcej imitacji, które miały zastąpić prawdziwe produkty. Rynek zalany był więc namiastkami, surogatami, produkowanymi przede wszystkim w niemieckojęzycznej Austrii oraz Czechach, choć także i w Krakowie nie brakowało wytwórców tego typu produktów. Jednym z nich był Kazimierz Ludwiński, właściciel fabryki cukierków, który rzucił na rynek Herbaton. Pod tą nazwą krył się płyn, który – jeżeli wierzyć ogłoszeniom zamieszczanym w krakowskiej prasie – „zastępuje w zupełności najlepszą herbatę z rumem”. Wystarczyło wlać dwie łyżeczki do szklanki gorącej wody, aby rozkoszować się aromatycznym, przedwojennym napojem. Herbaton był całkowicie bezpieczny dla konsumentów, gdyż – jak zapewniał pan Ludwiński – „przy badaniu przez c.k. urząd chemiczny został uznany za znacznie lepszy od innych surogatów”. Charakterystyczne dla wojennych czasów jest także i to, że specyfik ten na prowincję wysyłany był tylko w beczkach. Krakowianie, którzy chcieli w sklepie pana Ludwińskiego przy ul. Brackiej numer 5 kupić Herbaton, musieli przyjść z własną butelką, gdyż w czwartym roku wojny brakowało w Krakowie także i szkła. Nie wszyscy gustowali w herbacie z rumem. Dla miłośników herbaty z cytryną produkowano Zitro, czyli sztuczny sok z cytryny. Był on wytwarzany w Wiedniu przez firmę Nektarwerke, która dostarczała na krakowski i małopolski rynek także przyprawę do rosółów, zup i mięsa.

Borit zamiast mydła

Rzecz jasna, na rynku pojawiły się nie tylko namiastki żywności. Jednym ze szczególnie uciążliwych zjawisk towarzyszących tzw. „przejściowym trudnościom gospodarczym” był brak mydła. A ponieważ potrzeba jest matką wynalazków, pojawiały się więc w sprzedaży rozmaite mydlane surogaty. Jednym z nich był Borit, czyli „beztłuszczowy środek do mycia”. Jak zapewniali producenci, swoją nadzwyczajnie oczyszczającą siłą przewyższał on „wszelkie dotychczas istniejące środki zastępcze do mycia”. Podobno zaletą Boritu było także i to, że nie zawierał on „ani glinki, ani chlorku, ani innych bezwartościowych domieszek”. Trudno się więc dziwić, że zdaniem pana Henryka Dorthheimera, który miał firmę przy ul. św. Tomasza 8, Borit był niezbędny dla: „gospodarstw domowych, restauracyjnych, pralni, kopalni, dla fabryk i przemysłu, szpitali, obozów uchodźczych i obozów jeńców”. Producent Boritu wyrażał nawet nadzieję, że specyfik ten nawet w upragnionych przez wszystkich czasach pokojowych pozostanie najlepszym oraz najtańszym środkiem do mycia i prania.

Oprócz surogatów mydła pojawiały się także inne specyfiki do walki z brudem. Jednym z nich był cudowny kosmetyk o nazwie Fussol, który usuwał „pocenie się nóg, rąk i pach w ciągu kilku dni na



zawsze bez wpływów szkodliwych". Jeżeli wierzyć gazetowym reklamom, Fussol był środkiem wypróbowanym, niezawodnym i tanim, gdyż jeden słoik tego specyfiku kosztował tylko cztery korony. Mydło można było także zastąpić „Proszkiem toaletowym Romy”. Ten „wypróbowany kosmetyczny środek” miał podobno właściwości najdelikatniejszego mydła i do tego pięknie pachniał. Zalecany był więc przede wszystkim dla dbających o urodę przedstawicielek płci pięknej.

Stanisław Pigoń i „Chuda Emma”

W czasie wojny jedno z pism satyrycznych zaproponowało, aby obce słowo „surogat” zastąpić neologizmem „oszwabka”, gdyż w gruncie rzeczy mamy tutaj do czynienia z „oszwabianiem” konsumenta. Ze swoistą „oszwabką” ze strony c.k. władz wojskowych spotkali się krakowianie w czerwcu 1918 r. Jak zawsze lojalny, choć czasem – podobnie jak i inne krakowskie dzienniki – nękany przez wojenną cenzurę, „Czas” donosił 11 czerwca 1918 r.: „Za wzorem angielskiego „tygodnia tankowego” urządzają ministerstwa skarbu w Austrii i Węgrzech w porozumieniu z ministerstwem wojny i najwyższą komendą armii „dnia moździerza” w celach propaganda (!) dla VIII. pożyczki wojennej. Jeden z tych moździerzy 30,5 cm rozpoczął swe objazdy od Krakowa”. Miano więc zorganizować wydarzenie, które byłoby czymś w rodzaju reklamy wojny, którą mieli współfinansować obywatele.

Rzeczywiście moździerz 30,5 cm, M 11, produkowany w zakładach Škoda, był dumą austrowęgierskiej artylerii. To jedno z najpotężniejszych dział Wielkiej Wojny na odległość 8 km przebiło półtorametrową warstwę betonu lub 15-centymetrową pancerną kopułę. Krakowianie znali moździerz M 11, przed wojną wyposażony w nie był stacjonujący w Krakowie 2. Regiment Artylerii Fortecznej. Jak pisał profesor Janusz Bogdanowski, działa te brały udział w bitwie o Kraków. Rankiem 6 grudnia 1914 r. z rejonu kopca Kościuszki ostrzeliwały przygotowujące się do ataku na miasto oddziały rosyjskie skoncentrowane w Bieżanowie.

W początkowej fazie wojny Austria „wypożyczyła” moździerz M 11, pieśczośliwie nazywane „Chudą Emmą”, Prusakom, którzy skierowali je na front zachodni, aby tam niszczyły belgijskie i francuskie forty. Jednym z obsługujących te działa artylerzystów był Stanisław Pigoń, w przyszłości wybitny uczonec. Przyszłemu profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego udało się szczęśliwie wrócić z wojny, choć „zaliczył” trzy fronty, czyli: zachodni, rosyjski i włoski. Jednak ogłuszający huk „Chudej Emmy” przytępił słuch uczonego. W uniwersyteckiej tradycji zachowała się opowieść o tym, jak niezbyt dobrze przygotowany student chciał chytrze wykorzystać owo osłabienie słuchu byłego artylerzysty, który wojował przez sześć lat. Kiedy już zaprezentował całą swoją wiedzę, a widział, że egzaminator ciągle oczekuje dalszego ciągu, zaczął przyciszonym głosem mówić „Ojciec nasz, któryś ...”. Profesor słuchał, kiwał potakująco głową, aż wreszcie powiedział: „A ze »Zdrowaś« to przyjdzie pan po wakacjach”.

Ćwiczenia z moździerzem

Tak więc w czerwcu 1918 r. krakowianie mieli okazję znów podziwiać najpotężniejsze działo austrowęgierskiej artylerii. Jedenastego czerwca „Czas” donosił, że moździerz M 11 „przybył tu wczoraj wieczorem, dziś koło godziny 5 wieczorem rozpocznie w otoczeniu wojska i orkiestry wojskowej swój objazd po mieście od bramy Floriańskiej, a jutro przed południem odbędą się publiczne wojenne



ćwiczenia z moździerzem na Błoniach. Jutro w południe stanie na drodze powrotnej przed odwachem na Rynku. Publiczność będzie miała sposobność przyglądnięcia się działu, które na licznych polach bitew, a także w czasach obrony Krakowa w roku 1914, wielką odegrało rolę”.

Rzeczywiście, we wtorek 11 czerwca moździerz, rozmontowany i ulokowany na dwóch automobilach, w asyście orkiestry wojskowej, rozpoczął o godzinie piątej po południu objazd ulicami miasta. Trzygodzinną wędrówkę po Krakowie zakończył, jak zapowiadano, przed odwachem, czyli pod Wieżą Ratuszową. Następnego dnia czekało jednak krakowian bardzo gorzkie rozczarowanie. Choć mogłoby się z pozoru wydawać, że po prawie czterech latach wojny wszyscy mają już dość „militaryzmu” i wszelkich wojennych akcesoriów, to jednak na Błoniach przybyło całkiem spore grono ciekawskich krakowian. Niestety, oczekiwali na próżno. Jak pisała później krakowska prasa: „W tym czasie moździerz stał na Rynku przed odwachem; zmontowano go, ustawiono na lawecie, lufę skierowano w kierunku firmy Linoleum i wykonano szereg operacji, niegroźnych jednak ani dla wspomnianej firmy, ani dla miasta. Po południu moździerz, rozebrany znów na części, ruszył w dalszą podróż po kraju”. Tak więc nawet działania propagandowe, chodziło przecież o zachęcenie krakowian do subskrybowania kolejnej edycji austriackiej pożyczki wojennej, kończyły się zawodem i zapewne tylko zwiększały niezadowolenie oraz generalne rozczarowanie krakowian do odchodzącej nieuchronnie w niebyt habsburskiej monarchii.